



WILLIAM GRAHAM SUMNER

Zapomniany człowiek¹

The Forgotten Man

ABSTRACT: Sumner devoted his lecture “to discuss one of the most subtle and widespread social fallacies” – collective undertakings for the abolition of social pathologies that fail to take into consideration the situation of the individuals. Such initiatives are often a result of noble motives, but they are rarely associated with the actual will to act from their originators. Mostly, Sumner pointed out, A and B agree that C will help whomever is in need. Projects of this type may concern various misfortunes: unemployment, drunkenness, epidemics or consequences of natural disasters; and manifest themselves in various forms; but are always carried out through politics by the state. Moreover, it always the common man who is burdened with their implementation. This hard-working individual who takes care of himself and his family and wants only to be left alone is this “forgotten man”, of whom the architects of social policy do not think. Meanwhile, truly effective and noble help can only be carried out voluntarily and outside of state politics. Even more, the beneficiaries of the aid benefit the most when they are left to get out of their difficult position through their own effort. This is how social evolution works. “If we let nature alone, she cures vice by the most frightful penalties. It may shock you to hear me say it, but [...] a drunkard in the gutter is just where he ought to be. Nature is working away at him to get him out of the way, just as she sets up her processes of dissolution to remove whatever is a failure in its line”, wrote Sumner.

KEY WORDS: liberalism • leseferism • social evolution • individualism • forgotten man

Niniejszy wykład proponuję poświęcić omówieniu jednego z najpowszechniejszych, a jednocześnie najbardziej nieuchwytnych błędów człowieka. Błąd ten polega na uwzględnieniu w procesie rozumowania wyłącznie krótkotrwałego wrażenia wywołanego pojedynczym faktem bądź interesu szczególnej grupy społecznej, na które kierowana jest uwaga, podczas gdy inne fakty czy interesy innych osób są całkiem ignorowane. Podam szereg przykładów i objaśnień właściwej praktyki, jako że nie mógłbym oczekiwać, że zostanę prawidłowo zrozumiany wyłącznie na podstawie abstrakcyjnych i ogólnych stwierdzeń. Zanim jednak to nastąpi, by umożliwić wyrobienie

¹ Według wydania zawartego w zbiorze: *The Forgotten Man and Other Essays*, red. A.G. Keller, Yale University Press, New Haven 1919.

sobie ogólnego pojęcia o tych sprawach, przywołam jeden czy dwa przypadki omawianego zjawiska.

Za każdym razem, gdy w mieście wybucha epidemia, dajmy na to żółtej febry, nasza uwaga skupiona jest przede wszystkim na tej pladze, a myślami jesteśmy przy chorych. Jeśli organizowana jest zbiórka na rzecz potrzebujących, z zapalem odpowiadamy na wezwanie o pomoc. Lecz liczba tych, którzy co roku umierają przedwcześnie na suchoty, przewyższa liczbę tych, których zabrać może z tego świata epidemia febry czy innej zarazy. Także cierpienia gruźlików wydają się znacznie większe. Jednak udręka suchotników nigdy nie stanowi kwestii społecznej ani przedmiotu debaty publicznej. Jeśli gdzieś w kraju ma miejsce powódź (a do nieszczęścia tego dochodzi przecież niemal każdego roku), uwaga publiczna zwrócona jest na tę klęskę i czyni się nawet publiczne apele o pomoc dla powodzian. Lecz straty wyrządzone przez tę katastrofę są zaledwie nieznaczne w porównaniu ze szkodą tych, którym na przykład giną konie, a jednak pojedyncze przypadki ucieczki zwierząt rzadko kiedy znajdują wzmiankę na łamach lokalnej prasy. Również niewypłacalność dłużników (których w czasie kryzysu jest wielu i którzy stanowią osobną klasę społeczną) jest przedmiotem zainteresowania opinii publicznej. Myśliciele polityczni pochyłają się zatem nad tym problemem, a ustawodawcy podejmują działania na rzecz ulżenia bankrutom. Jednakże niewypłacalni dłużnicy są grupą nieliczną w porównaniu do tych, których dotyczą nieszczęścia dnia powszedniego. Te przypadki rozpatrywane są jednak pojedynczo, w izolacji, a doświadczający ich nie są postrzegani jako grupa czy klasa, stąd też ich sytuacja nie jest generalizowana i nie są oni przedmiotem debaty, ani adresatem pomocy publicznej. W latach koniunktury osoby, które popadają w niewypłacalność zmuszone są czynić samodzielne starania na rzecz poprawy własnej sytuacji. Nie mogą liczyć na pomoc ze strony prawodawcy. A przecież łączna liczba bankructw w czasie koniunktury i straty z nimi związane są znacznie większe w latach prosperity niż podczas nagłych, krótkotrwałych krachów.

Przedstawione przykłady ukazują jedynie pewien aspekt, podejmowanego przeze mnie tematu – a i to tylko w części. Albowiem sedna problemu, który zasługuje na naszą uwagę, dotkniemy dopiero wtedy, gdy przyjrzymy się bliżej zagadnieniu przedsięwzięć, które projektuje się w obliczu nieszczęść zajmujących opinię publiczną. Gdy tylko osoba A zaobserwuje, że osoba X doświadcza czegoś, co wydaje jej się złem, śpieszy przekazać swoje spostrzeżenie osobie B. A i B omawiają wówczas dany przypadek i proponują przyjęcie ustawy, która miałaby zapobiec złu i wesprzeć X. Projektowane prawo zawsze jednak sprowadza się do tego, co osoba C miałaby w obowiązku uczynić na rzecz X, a w najlepszym przypadku, co A, B i C miałyby wspólnie uczynić

na rzecz X. Jeżeli chodzi o A i B, które czynią starania na rzecz X, nie można o nich powiedzieć wiele więcej, jak to że uczyniłyby lepiej, gdyby niosły pomoc, nie zaprzatając sobie głowy zmianami w prawie. Chciałbym raczej przyjrzeć się sytuacji C. Moim celem jest bowiem ukazanie, jakim typem człowieka jest ta osoba. Postać tę nazywam „Zapomnianym Człowiekiem”. Być może określenie to nie jest całkowicie poprawne. C jest bowiem osobą, której nigdy nie bierze się pod uwagę i której nie poświęca się myśli. Osobą, która jest ofiarą reformisty, eksperymentatora społecznego i filantropa. Zanim skończę, mam nadzieję wykazać, że Zapomniany Człowiek zasługuje, by mieć go na uwadze – zarówno ze względu na jego cechy, jak i z uwagi na ciężary, którymi go obarczono.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z głównych źródeł omawianego przeze mnie zjawiska jest skłonność do namysłu i uogólniania doświadczeń, które charakteryzują nasze czasy. Odkąd prasa drukarska weszła do powszechnego użycia, uzyskaliśmy możliwość oddawania się refleksji w stopniu nieznanym naszym przodkom. Ich życie koncentrowało się raczej na bezpośrednim doświadczaniu realnych przypadków, a nie analizie, introspekcji, teoretyzowaniu i spekulacji, które stały się naszym zwyczajem w stopniu niemal zakrawającym o przesadę. Ze wszystkim zagadnień, które stanowić mogą przedmiot uogólnień doświadczeń i filozofowania, kwestie społeczne stanowią największą pokusę. Wszak każdy z nas doświadczył w pewien sposób działania sił społecznych i miał wówczas okazję poczynić obserwacje na temat tych zjawisk. Z całą pewnością nie ma dziedziny, w którym generalizacja byłaby łatwiejsza, albo też w którym równie swobodnie przychodziłoby człowiekowi dogmatyzować. Nawet osoby o odpowiednim wykształceniu w dyscyplinach naukowych, w których sami nie tolerowałyby dogmatyzacji, w sposób wielce nierozważny nie wahają się oddać tej praktyce na niwie zagadnień społecznych. Prawdą jest bowiem, że nauka – jak do tej pory – podporządkowała sobie zjawiska społeczne daleko mniej niż jakkolwiek inną klasę zjawisk. Najbardziej złożona i skomplikowana materia, jaka pozostała nam zatem jeszcze do zbadania to właśnie struktura ludzkiego społeczeństwa; siły, które nim targają; czy prawa, które nim rządzą – kwestie, o których wiemy mniej niż o czymkolwiek innym, co wymaga naszej uwagi. W tym stanie rzeczy pochopte uogólnienie z pewnością okaże się zwodnicze. Nie ma czasopisma ani gazety, które mógłbyś wziąć do ręki, żeby nie uderzyło cię rozgorączkowanie, z jakim dyskutuje się na temat problemów społecznych. A jeśli dodatkowo zgłębiasz nauki społeczne, z pewnością zauważysz, że niemal wszystkie debaty prowadzone na łamach prasy świadczą nie tylko o braku elementarnej przygotowania ze strony ich uczestników, ale wręcz nieświadomości, że takie przygotowanie należałoby

wpierw uzyskać. W rezultacie w konsternację wprawia nas sprzeczność polemicznych wywodów dogmatyków. W ich rozważaniach odnajdujemy bowiem wyłącznie popularne wyobrażenia i przeciwstawiane sobie „poglądy na sprawę”. Z pełnym przekonaniem proponuje się określone rozwiązania, lecz nie uzasadnia, na jakiej zasadzie miałyby one działać (inaczej niż przez wewnętrzne przekonanie autora o ich słuszności). Wciąż słyszymy o potrzebie „reform”, lecz jeśli przyjrzeć się sprawie bliżej reformiści okazują się ludźmi, którym zwyczajnie nie podoba się zastany porządek rzeczy i chcieliby uczynić świat przyjemniejszym. Wiele postulatów niesienia postępu słyszymy bowiem z ust ludzi, którzy sami nie wiedzą, w jakim kierunku chcą podążać. W konsekwencji reformy społeczne to, obok estetyki, najbardziej jałowy i bezcelowy przedmiot prowadzonych przez nas debat.

Podejrzewam, że pierwsi chemicy wydawali się aż nazbyt rzeczowi i zatwardziali, gdy kwestionowali ten jakże piękny sen alchemików, by metale nieszlachetne przemienić w złoto. Więcej nawet, podejrzewam, że ci, którzy w swoim chłodnym osądzie pierwsi obwieścili światu, że nie istnieje żadne źródło wiecznej młodości postrzegani byli przez otoczenie jako okrutni wrogowie ludzkiego szczęścia. Wiem także, że powszechnie nie dowierza się dziś ekonomistom, którzy cierpliwie tłumaczą, że gdybyśmy nawet byli w stanie transmutować ołów w złoto, nie tylko nie przyniosłoby to nam żadnych korzyści, ale jeszcze naraziło na wielkie straty. Czyż w artykułach prasowych nie wybrzmiewa echo teorii, która głosi, że bogacimy się wyłącznie wtedy, gdy wymieniamy nasze zboże czy bawełnę na złoto, a nie na żelazo?

Przedstawmy zatem sprawy tak, jak się mają i trzymajmy się przy tym twardych faktów. Nie istnieje cudowny środek prowadzący do dobrobytu. Można je sobie zapewnić wyłącznie pracą, umiejętnym gospodarowaniem i cnotą. Wciąż znajdujemy się w stadium poznawczym, jeśli chodzi o nasze instytucje społeczne. Mamy pewne osiągnięcia w dziedzinach nauki i sztuki, przemysłu, środków transportu, czy wymiany. Lecz jeśli chodzi o prawidłowości, które rządzą społeczeństwem, wciąż wiemy o nich bardzo niewiele. Nasze prawa i instytucje, którymi staramy się kontrolować nasze życie, podlegające przecież przede wszystkim prawu natury, można wciąż zakwalifikować zaledwie jako ciąg chaotycznych eksperymentów. Przeciwstawiamy się porządkowi, którego nie jesteśmy w stanie objąć naszym umysłem, stąd też wciąż popełniamy błędy, których nie potrafimy później naprawić. Uparcie brniemy jednak dalej i podejmujemy kolejne eksperymenty, zamiast zająć się cierpliwym studiowaniem praw i faktów, które pozwoliłyby nam zrozumieć przyczyny naszych potknięć. Tradycja i utarte schematy wyznaczają treść naszych praw i zwyczajów, a my nie potrafimy ich ani przezwyciężyć, ani nawet stopniowo zmieniać.

Poświęćmy zatem chwilę uwagi zagadnieniu wolności, jako że Zapomniany Człowiek nie byłby już dłużej zapomniany, gdyby zapanowała prawdziwa wolność. Powiesz zapewne, że dobrze wiesz, czym jest ta prawdziwa wolność. Wszak nie ma dziś pojęcia, z którym równie powszechnie i chętnie by się obnoszono, mogłoby się zatem wydawać, że nie ma potrzeby go definiować. Lecz, nawet w chwili, gdy pisze te słowa, w rozłożonym przede mną wiodącym tytule prasowym odnajduję nową definicję wolności politycznej. Wolność polityczna, tłumaczy autor, to „skutek przymusu państwowego, którym suwerenny lud krępuje co bardziej wybitne jednostki i wpływowe grupy społeczne, w celu zapobieżenia wykorzystania przewagi ze szkodą dla pozostałych klas”. Zwróćmy uwagę na wykorzystanie zwrotu „suwerenny lud” na określenie pewnej klasy społecznej, a nie narodu jako ogółu, wspólnoty politycznej i obywatelskiej. Za każdym razem, gdy słowo „lud” pojawia się w tym znaczeniu, dochodzi do przekłamania. Co więcej, przedstawiona definicja jest obca i sprzeczna z tradycją anglosaskiego konstytucjonalizmu. Jej autor rozwija następnie swoją koncepcję i dochodzi do wniosku, że „rządy ludu nie prowadzi do paternalizmu, jako że prawodawca w takim ustroju jest związany mandatem i jako pełnomocnik wykonujący wolę ludu nie jest jego ojcem ani panem”. Oto wniosek, który autor chciał wysnuć od samego początku i do którego dostosował swoją definicję wolności.

W przywoływanym fragmencie słowo „lud” użyte zostało na oznaczenie klasy, czy też części populacji. Następnie zaś stwierdzono, że jeśli właśnie ta konkretna grupa sprawuje rządy w państwie, nie dojdzie do wykształcenia paternalizmu, to jest rządów nieodpowiednich. Jednak ta koncepcja jest całkowitym przeciwieństwem wolności i opiera się na najbardziej haniebnym błędzie, jaki tylko można popełnić w polityce. W rzeczywistości chciwość, egoizm, zazdrość, zjadliwość, pożądlivość i mściwość są na stałe wpisane w ludzką naturę. Nie są to przywary, które można przypisać klasom, czy nawet narodom, ani nawet określonym pokoleniom. Przeciwnie – na ich przejawy można natrafić w każdym miejscu: w pałacu, parlamencie, na uniwersytecie, w kościele, w zakładzie rzemieślniczym, czy w nędznej chałupie. Manifestują się one także w każdym ustroju – na równi w autokracjach, teokracjach, arystokracjach, demokracjach, jak i ochlokracjach. W poszczególnych epokach czy społeczeństwach mogą przybierać różne maski, lecz historia jest świadkiem nieustannych starań ludzkich o uzyskanie władzy nad bliźnimi, by ich kosztem i dzięki ich pracy zapewnić sobie szczęście i dobrobyt. Jest oczywiście prawdą, że dotychczas proletariats, czy też masy ludzkie rzadko kiedy sprawowały władzę – z pewnością nie w czasach, gdy królowie, szlachetnie urodzeni, czy kapłani ciemniżyli je, kiedy tylko mieli ku temu sposobność i śmiałość. Lecz jak wielkim głupstwem jest myśleć,

że ułomności i żądze właściwe są jedynie określonym klasom, a wolność zapanuje wówczas, gdy odbierze się władzę arystokratom i duchownym, a przekaże rzemieślnikom i chłopom, po to tylko by ci drudzy mogli jej teraz nadużywać! A przecież będą jej nadużywać, podobnie jak czynili to inni przed nimi, chyba że zostaną związani hamulcami ustrojowymi i systemem wzajemnych zabezpieczeń. Albowiem nie może nigdzie być wolności politycznej, jeśli prawa nie są chronione – tak przed proletariatem, jak i wojskiem, szlachtą czy kościołem.

Zastanówmy się zatem, gdzie tkwi przyczyna wadliwości dotychczas istniejących ustrojów. niesprawiedliwość dawnych porządków – rządów żołnierzy czy arystokratów – polegała na tym, że pewnej grupie ludzi przysługiwało prawo do owoców pracy pozostałych; że życie, prawa, interesy i szczęście jednych poświęcane było z uwagi na chciwość i żądze drugich. O co zatem tak naprawdę ubiegali się nasi przodkowie, walcząc przez ostatnich pięćset lat o wolność polityczną? Otóż dążyli oni do ustanowienia porządku, w którym każdy mężczyzna i każda kobieta mogliby prowadzić swoje życie zgodnie z własnymi przekonaniem o istocie szczęścia oraz dążyć do realizacji własnego potencjału moralnego i umysłowego. W jaki zaś sposób starali się to osiągnąć? Poprzez odrzucenie wszelkich arbitralnych osobistych bądź klasowych elementów i powołanie rządów prawa, a także supremację instytucji zapisanych w konstytucji takich, jak ława przysięgłych, *habeas corpus*, niezawisłość sędziowska, separacja kościoła i państwa oraz wybory. Zwróćmy zatem uwagę już w tym miejscu na kwestię, która powróci jeszcze przy dokładniejszym omówieniu sprawy Zapomnianego Człowieka: za każdym razem, gdy mówi się o wolności, należy mieć na myśli wolność d w ó c h ludzi. Wszak uprawnienia jednego w sposób oczywisty wkraczają w sferę autonomii drugiego. I podobnie, gdy jednemu przyznaje się wolność, prawa drugiego zostają ograniczone. Stąd też za każdym razem, gdy władca absolutny podporządkowywany jest zasadom konstytucji, słyhać głosy protestu, że oto naruszane są jego prawa. W pewnym sensie nie są one pozbawione racji. Gdy bowiem kompetencje egzekutywy do samodzielnego decydowania o zadaniach państwa są uszczuplane, poszerzeniu ulega zakres kompetencji pozostałych władz. Za każdym razem, gdy ograniczane są przywileje arystokracji, rozlegają się analogiczne narzekania. Rzeczywiście – linia graniczna pomiędzy siłą i wpływami poszczególnych klas została przesunięta i co zostało odebrane jednym, przyznano drugim.

Możemy zatem postawić kolejny krok na drodze do ustalenia prawdziwej definicji wolności politycznej. Jest to stan, w którym odnajdujemy słuszną równowagę pomiędzy prawami poszczególnych grup i jednostek. Koncepcja wolności politycznej ulegała oczywiście na przestrzeni dziejów

nieustannym przeobrażeniom. Samo pojęcie praw zmieniało swoje znaczenie z pokolenia na pokolenie, a idea wolności politycznej przeobraża się przecież odpowiednio wraz z nim. Gdybyśmy mieli jednak podjąć próbę skonstruowania prawdziwej definicji wolności politycznej, ideału, do którego zdążały rozwijające się w ciągu wieków instytucje polityczne, przedstawiałaby się ona następująco: wolność polityczna to status jednostki, który opiera się na prawnych i instytucjonalnych gwarancjach wyłącznego korzystania ze swoich możliwości i zdolności dla swojego własnego pożytku.

Przedstawiona definicja wolności czy też wolności politycznej, odnosi się, jak widać, wyłącznie do konkretnych i aktualnych stosunków ustrojowych. W umyśle ludzkim jest oczywiście zakorzenione pewne romantyczne i metafizyczne wyobrażenie wolności, o której niektórzy nawet śnią, lecz nikt nie umie tego pojęcia wyjaśnić. W języku potocznym używa się go na określenie możliwości czynienia wszystkiego, na co się ma ochotę. Jeśli ludziom przyjdzie do głowy wyznawać ten rodzaj wolności, a dodatkowo powiążą go z przekonaniem, że żyją w wolnym kraju i należy im się wolność, mogą wówczas zgłaszać wobec państwa dość osobliwe roszczenia. Jeśli bowiem wolność oznacza czynienie wszystkiego, na co się ma ochotę, to wolność nie istnieje. Czy car w Rosji może czynić wszystko, na co ma ochotę? A papież? A może prezydent Stanów Zjednoczonych ma taką możliwość? Czy szczęściem tym cieszy się Rotschild? A Humboldt albo Faraday, czy oni mogli czynić wszystko, czego tylko zapragnęli? A Shakespeare bądź Rafael? A włóczęga? Kim jest ta osoba, która niezależnie od pozycji, majątku, czy zdolności, może osiąść tak rozumianą wolność? Odpowiadam zatem – nie było i nie ma takiego człowieka. W naszym piśmiennictwie krąży doktryna, która zakłada, że rodzimy się z pewnymi przynależnymi nam prawami. To kolejna wspaiała mrzonka, której realizacja skutkowałaby tym, że przysługują nam na świecie przywileje, na które nie zapracowaliśmy. A jak ma się ona do rzeczywistości? Otóż nie ma żadnych przyrodzonych praw, które nie skutkowałyby odpowiadającym im obowiązkom. Prawda jest bowiem taka, że na ziemi nie ma nic za darmo. Majątek, wiedza, czy instytucje, które dziedziczymy po przodkach zostały okupione ciężką pracą i poświęceniami przeszłych pokoleń, a fakt, że pewne zdobycze mogą być przekazane i gatunek ludzki może zaopatrzyć w nie akumulować dobra i kontynuować swój pochod przez wieki, jest jednym z fundamentów cywilizacji. Zasada zachowania energii nie przynależy wyłącznie do nauki fizyki, lecz jest prawem moralnym całego wszechświata, wyznaczającym porządek i sprawiedliwość wszelkich tworów człowieka. Gdyby natomiast istniała wolność do czynienia wszystkiego, czego się zapragnie, gatunek ludzki pogrążyłby się w nieskończonej anarchii i wiecznej wojnie, gdyż błędnie rozpoznawane przez nas cele byłyby

sobie przeciwstawne, wzajemnie by się wykluczały. Prawdziwa wolność, powiadam, leży w równowadze praw i obowiązków, prowadzi do pokoju, porządku i harmonii. Wolność, jak ją rozumiem, jest prawem człowieka do uzyskiwania władzy i czerpania korzyści z produktu społecznego, który z kolei mierzony jest wkładem jego pracy i intelektu w wysiłek społeczny.

Jeśli zatem wyłożyłem ideę wolności precyzyjnie i zgodnie z intencją, łatwo dostrzec, że na wolność polityczną składa się zespół instytucji politycznych i praw operujących tak bezstronnie, jak to tylko możliwe. Nie można jej zatem sprowadzić do rządów większości, ani też powszechnych praw wyborczych, ani jakiegokolwiek systemu wyborczego. Są to jedynie środki, a ich ocena zależy od stopnia, w jakim prowadzą do celu, którym jest zabezpieczenie wolności. Instytucje wolności politycznej pozostawiają każdemu człowiekowi swobodę samodzielnego pokierowania własnym życiem, gwarantując mu jedynie, że jego przedsiębiorczość, gospodarowanie, umiejętność przewidywania, rozważa itp. służyć będą wyłącznie powiększeniu jego prywatnego dobrobytu i nie zostaną wykorzystane na pożytek nikogo innego. Oczywiście wynika z tego także, że każdy człowiek powinien również ponieść konsekwencje swoich błędów i grzechów. Jeśli chcę być wyłączony spod władzy drugiego człowieka, muszę zrozumieć, że ja również nie mam władzy nad nikim innym.

Mając na uwadze przedstawione powyżej definicje i idee, zwróćmy się teraz ku problemowi szczególnego rodzaju przypadków, o którym wspominałem we wstępie. Widzimy, że pod rządami wolności i równości wobec prawa uzyskujemy najdalej posuniętą niezależność i samodzielność oraz największe zaangażowanie i przedsiębiorczość jednostek. Ale też uzyskujemy te wysoko cenione cnoty społeczne kosztem dawnych więzi, łączących suzerena i wasala, pana i służącego, mędrca i ucznia, współbrata ze współbratem. Panuje między nami zgoda, co do tego, że syn nie powinien być potępiany za zbrodnię swojego ojca, a co dopiero dalszych krewnych. Jest bowiem racjonalnym i humanitarnym, by każde życie traktować jako wartość samą w sobie i nie oceniać go przez pryzmat wad innych. Lecz nadaremnie byłoby zaprzeczać, że taka postawa zaistnieć może wyłącznie w społeczeństwie, w którym więzi pokrewieństwa utraciły niemal całą siłę poetyckości i romantyzmu, które niegdyś je charakteryzowały. Sentyment i zażyłość wygasły, jako że przyjęliśmy porządek oparty na wolności i równości wobec prawa, po to by powołać społeczeństwo oparte nie na statusie, lecz wolności umów. Społeczeństwo oparte na kryterium pochodzenia charakteryzuje się tym, że stosunki pomiędzy ludźmi są niezmiennie, a wyznacza je przynależność do klas, stanów, grup interesów, korporacji, gildii, zrzeszeń itp. Tradycja i ustalone sposoby postępowania sprawiają, że w społeczeństwie

takim tworzą się więzi oparte na poczuciu. Echem tego historycznego już modelu są dzisiejsze zasady funkcjonowania bractw uniwersyteckich. Bez wątpienia jest wielkim szczęściem i przywilejem doświadczyć zażyłości wynikającej z przynależności do takiej wspólnoty, ponieważ jest to już rzadkie zjawisko. Jednak w społeczeństwie opartym na swobodzie kontraktowania, jednostki są wolne i niezależne. Stają się stronami umów, które zawiązują dla wzajemnych korzyści, a stosunki pomiędzy nimi oparte są na racjonalności, wręcz chłodnej kalkulacji. Nie ma tu nic z poetyckości. Relacje nie wyrastają z tradycji i nie wykuwają się w zwyczaju. Nie trwają na mocy prawa preskrypcji, lecz zanikają, gdy racjonalne powody ich zawiązania tracą na ważności. Nie ma w tym żadnej uczuciowości. Tak naprawdę bowiem, pod rządami wolności i równości wobec prawa ani w handlu, ani w polityce, ani w sprawach publicznych nie ma miejsca na uczucia. Sentyment zepchnięty jest tu do sfery prywatnej, a jego miejscem są relacje osobiste. A jeżeli przedostaje się do debaty publicznej nad sprawami natury ogólnej i bezosobowej, zawsze powoduje szkody.

Zwróćmy zatem uwagę na problem „biednych i potrzebujących”, który wciąż powraca jako przedmiot zainteresowania i troski opinii publicznej. W wezwaniach o niesienie powszechnej pomocy, pojęcia „biedny” i „potrzebujący” używane są tak, jakby posiadały ustalone już definicję i desygnat. Lecz jedyne, co możemy w tym wypadku podać za wyjaśnienie to synonim: „ubogi” oraz tych kilka słów opisu, że jest to człowiek, który nie jest w stanie zarobić na swoje utrzymanie bądź spłacić zaciągniętych długów. O człowieku potrzebującym nie możemy z kolei powiedzieć wiele więcej ponad to, że jest krepowany przez ułomności własnego charakteru bądź fizyczne niedołęstwo. Ubodzy i niedołęzni są bez wątpienia ciężarem dla społeczeństwa, ale konieczne jest go ponosić. O ludziach tych nie trzeba tu szerzej rozprawiać. Lecz potrzebujący z własnej winy, którzy wywołują poczucie litości i humanitaryzmu altruistów i dobroczyńców są opieszali, bezmyślni, niedbali, bezużyteczni, albo też nieudolni, gnuśni, łapczywi, rozrzutni i napawają odrazą. Problemy tych osobników są wciąż narzucane opinii publicznej, jak gdyby wymagały one szczególnej uwagi i namysłu, a większa część zorganizowanego bądź indywidualnego wysiłku na rzecz dobrobytu społecznego koncentruje się na ich rozwiązywaniu. Nie chciałbym jednak, by mnie tu źle zrozumiano. Nie uważam, że dla ludzi, o których tu mowa silniejsi i mądrzejsi nie mogą uczynić nic pożytecznego. Nie o to mi się tu rozchodzi. Pragnę raczej wykazać, że owe dobroczynne starania zawierają w sobie immanentny błąd, wynikający z przeoczenia jednej zasadniczej kwestii. Nie jest bowiem słuszne to, co przyjmuje się w tych sprawach na ogół za pewne – że pomoc nieudolnym i gnuśnym przynosi korzyści, a w najgor-

szym wypadku nie powoduje szkód. Twierdzenie to jest kompletną pomyłką. Albowiem jakiegokolwiek kapitału by nie przeznaczyć na wsparcie tych beczynnych i bezużytecznych osobników, będą to środki odebrane komu innemu, które w innym wypadku zostałyby wykorzystane przy bardziej odpowiedniej inicjatywie. Gotów jestem zatem poświęcić cały swój zapal i moc intelektu, by wyłożyć, jak jest naprawdę. Otóż kapitał jest siłą. Jeżeli siła ta dąży w jednym kierunku, nie może jednocześnie podążać w innym. Jeżeli dasz swój jedyny bochenek chleba biedakowi, nie możesz uczynić tego samego wobec robotnika. I oto ukazuje się nam Zapomniany Człowiek, to jest ten, który otrzymałby chleb, gdyby nie uczucie wspaniałomyślności, jakim obdarzono bezwartościowego członka społeczeństwa. Dobroczynicy i altruści mają głowy pełne nieszczęśników i nędzników, których sprawa odwołuje się wprost do ich współczucia, trafia w ich potrzebę niesienia miłosierdzia, obezwładnia ich wyobraźnię i podnieca zmysły. W konsekwencji prą oni ku jak najszybszemu i jak najłatwiejszemu rozwiązaniu problemu, zapominając, kto w rzeczywistości jest tu ofiarą.

Kimże jest ten Zapomniany Człowiek? Jest każdym prostym i uczciwym robotnikiem, który zarabia na życie wydajną pracą. Mijamy go, nie zwracając na niego uwagi, ponieważ jest niezależny i samodzielny oraz nie zabiega o żadne względy. Nie odwołuje się do naszych uczuć, ani nie wywołuje współczucia. Pragnie jedynie, by zawarto z nim umowę i dotrzymano jej warunków, nie okazując niepotrzebnej łaski żadnej ze stron. Utrzymanie umożliwi mu krążący w społeczeństwie kapitał, a im więcej tego kapitału, tym wyższy poziom życia jest w stanie zapewnić sobie ten człowiek. A zatem nawet najskromniejsze środki zmarnowane na wsparcie gnuśnych, leniwych i rozlazłych odjęte zostają od ogółu kapitału, którym można by wynagrodzić pożyteczną pracę samodzielnych. Co i rusz, odwracamy się jednak plecami do tego niezależnego i zaradnego robotnika. Nie pamiętamy o nim, ponieważ się nie awanturuje. Ale oto ja apeluję, abyśmy zadali sobie pytanie, czy nie jest on człowiekiem, o którym to powinniśmy pamiętać przede wszystkim i o którego to powinniśmy się najpierw zatroszczyć. Czy niezależnie od wyznawanej przez nas teorii społecznej, nie należy tego człowieka uchronić przed obciążaniem go troską o tych, z których nie ma żadnego pożytku. Ostatnimi laty przeczytałem setki artykułów oraz słyszałem tuziny kazań i mów, w których gloryfikowano owych bezużytecznych, jak gdyby społeczeństwo na mocy praw rozumu było im winne opiekę i ochronę. Traktuje się nas tak, jakby ci, którzy zasługują na szacunek byli winni temu, że niektórzy na niego nie zasługują; jak gdyby ci, którzy wykonują swoje obowiązki byli dłużnikami tych, którzy nie wykonują swoich. A przecież każdy człowiek jest obowiązany troszczyć się jedynie o siebie samego i swoją rodzinę oraz

wykonać swoją część obowiązków społecznych. Nie ma nawet cienia prawdy w stwierdzeniu, że ci, którzy zatroszczyli się o siebie i swoich bliskich, mają także obowiązek zastępować w podobnych staraniach nędzarzy – tylko dlatego, że tym drugim się nie powiodło. Niemądrym zatem przesądem jest pogląd, że żebracy żyją na koszt bogatych. To raczej ci, którzy jedzą, choć nic nie wytwarzają żyją na koszt tych, którzy pracują i wytwarzają. Następnym razem, gdy przyjdzie ci na myśl przekazać dolara na rzecz organizacji dobroczynnej – nie mówię byś tego nie robił, być może uczciwie przemyślisz sprawę i postanowisz, że jest to słuszne – proszę cię, byś wpierw przypomniał sobie Zapomnianego Człowieka i zważył na to, że jeśli wpłacisz te pieniądze na rachunek w banku, to powiększy on kapitał krajowym i pośrednią drogą trafi do tego, który zajmuje się raczej zarabianiem i pomnażaniem majątku.

Zwróćmy się zatem ku innemu rodzajowi rozpatrywanych przypadków. Oto projektuje się liczne plany „poprawy sytuacji klasy pracującej”. Wykazałem już, że człowiek wolny i niezależny nie przyjmuje przysług. Ten natomiast, który korzysta z grzeczności, albo wręcz oddaje się pod opiekę, degradowuje siebie samego. Jego niezależność zostaje ograniczona, a on sam nie może już powoływać się na równy status wobec tych, którzy okazują mu łaskę. Spostrzeżenie to nie dotyczy jednak wsparcia wynikającego ze szczególnych więzów zażyłości, czy też przyjaźni, to jest sytuacji, w których relacje międzyludzkie oparte są na sentymencie, a nie wzajemnej autonomii. Tak więc w kraju, w którym panuje demokracja i wolność każdy postulat działania na rzecz klasy pracującej zawiera w sposób konieczny posmak paternalizmu i wyższości, który wydaje się po prostu niegrzeczny i nie na miejscu. Co więcej, nikt nie może uczynić nic dla drugiego, jeśli po zatroszczeniu się o swoje własne sprawy, nie zostanie mu jeszcze zapas sił. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych to właśnie klasa pracująca jest najsilniejsza. Jeżeli ktokolwiek ma nadmiar energii, to właśnie proletariatu. Dlategoż zatem ktokolwiek miałby ofiarować tej grupie swoją pomoc, czy też świadczyć na jej rzecz? Może ona przecież pozyskać wszystko, co tylko uzna za warte posiadania. Tak czy inaczej, jeżeli mówimy o wolnych ludziach żyjących w wolnym kraju, byłoby czymś haniebnym i nieodpowiednim, by stosować wobec nich instytucję patronatu i protekcji. Człowiek górujący nad innymi wykształceniem oraz doświadczeniem w biznesie z pewnością będzie skłonny udzielić rad i wskazówek aspirującemu pracownikowi najemnemu; lecz tego rodzaju zachowanie należy do sfery stosunków prywatnych i osobistych.

W tym miejscu chciałbym jednak zwrócić uwagę na publiczne, ogólne i bezosobowe plany [pomocy społecznej – przyp. tłum.]. Jeżeli pragniesz wynieść kogokolwiek z dotychczasowej pozycji, musisz pamiętać

o tym, że potrzebujesz w pierw odnaleźć punkt oparcia. Co więcej, awans, który zapewnisz jednemu, odpowiadać będzie degradacji drugiego. Kwestia zapewnienia społeczeństwu prawdziwego przysporzenia zależy natomiast od zachowania równowagi pomiędzy pozycją osób, których dotyczą programy. Tymczasem niemal każdy projekt „poprawy warunków klasy pracującej” zakłada potrzebę promocji jednych ludzi pracujących kosztem innych. Gdy przeznaczasz środki bądź poświęcasz swój czas na zapewnienie komuś poprawy życia, wiesz, że ingerujesz w mechanizm konkurencji. Przewaga jednych okupiona zostanie stratą drugich. Awans w hierarchii społecznej nie wynika zatem wyłącznie ze zwiększenia starań. Gdyby tak było, nie byłby to temat wart rozważań, jako że z łatwością dostrzegamy tych, którzy wychodzą zwycięsko z wyścigu życia i czerpią z tego tytułu nagrody, bez których pozostali muszą się obejść. W przypadkach, do których się tu odnoszę, różnica wynika z ingerencji [w mechanizmy społeczne – przyp. tłum.], która zawsze musi być niepełna, arbitralna, przypadkowa, kierowana protegą bądź osobistymi preferencjami. Podobnie jak wcześniej, nie mówię, by całkiem zaniechać takich działań. Przeciwnie, uważam, że często argumenty za tymi przedsięwzięciami przeważają nad argumentami przeciw nim. Pragnę jednak poddać pod rozważenie pewien zapomniany aspekt rozpatrywanego tu problemu, o którym zawsze powinniśmy pamiętać, jeśli decyzja o podjęciu akcji społecznej ma być mądra. Chciałbym zatem przywołać Zapomnianego Człowieka, ponieważ jeśli się zastanowić i poszukać jego miejsca w tej konfiguracji, odnajdziemy go – niezależnego i mężnego cierpliwie i niestrudzenie stawiającego czoło przeciwnościom losu bez słowa skargi czy wołania o pomoc. Wobec tego pamiętajmy, że wsłuchując się w utyskiwania oraz podejmując działania na rzecz ulżenia skarżącym się, skazujemy na degradację tych, którzy starają się pomóc samym sobie.

Przypatrzmy się teraz kolejnej kategorii spraw społecznych. Nie powiedzieliśmy bowiem dotąd nic o nadużyciach prawodawstwa. Żyjemy w złudzeniu, że to bogaci płacą podatki. Tymczasem podatki nie obciążają konsumentów w tak bezpośredni i bezwzględny sposób, jak to się przyjęło uważać. Gdy na rynku nie dochodzi do anomalii, podatki mieszkaniowe są oczywiście ciężarem przede wszystkim dla lokatorów, a podatki od towarów – dla konsumentów. Co do tego nie ma wątpliwości. Z drugiej strony rząd oraz samorządy wydają wielkie sumy na utrzymanie policji, szeryfów i funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości, by chronić ludzi przed sobą nawzajem, to jest przed ludzką głupotą, zepsuciem i brakiem rozwagi. Kto za to wszystko płaci? Bez wątplenia ci, którzy nie są winni ani głupoty, ani zepsucia, ani też braku rozwagi. Nic nie bierze się przecież z próżni. Jako że

nie możemy pobrać podatków od ludzi bezproduktywnych i bez majątku, podatki płacą tylko ci, którzy pracują i gromadzą oszczędności.

Gdy widzisz pijaka, leżącego w rynsztoku, czujesz odrazę, lecz jednocześnie jest ci go żal. Gdy zjawia się policjant, by go podnieść, czujesz ulgę. W takich sytuacjach mówi się, że to „społeczeństwo” interweniowało, by ocalić tego nieszczęśnika przed pewną zgubą. Jednak „społeczeństwo” to piękne słowo, które w tym wypadku oszczędza nam trudu zastanowienia się, kto tak naprawdę tu działa. Prawda jest bowiem taka, że przywołany policjant jest przez kogoś opłacany, a gdy mówimy o społeczeństwie, zapominamy, któż to czyni. I znów, ciężar ten złożony został na barki Zapomnianego Człowieka. To właśnie ten zaradny człowiek pracy, którego niepostrzeżenie mijasz na ulicy, gdy zmierza do domu po kolejnym ciężkim dniu, jest pozbawiany części swoich zarobków, by zatrudnić policjanta, który ma wybawić pijaka od samego siebie. Wszystkie wydatki publiczne, których celem jest powstrzymanie ludzkich przywar i słabości mają ten sam skutek. Zepsucie jest bowiem przekleństwem, które wyleczone może być tylko przez bezwzględne działanie sił natury. Być może to, co teraz powiem wyda ci się szokujące, lecz gdy już minie to zdumienie, dobrze zrobi ci rozważyć tę myśl. Pijak w rynsztoku jest dokładnie tam, gdzie powinien być. Natura prowadzi go swoimi ścieżkami po trochu wywodząc z tego świata tak, jak na mocy praw przyrody stopniowemu rozkładowi ulega każdy organizm, który stanowi jej pomyłkę. Hazard, czy inne nałogi, o których nie warto się rozводить są problemami, które rozwiązują się same poprzez prowadzenie do ruiny i zagłady swoich ofiar. Dziewięć na dziesięć przedsięwzięć, mających na celu ulżenie ułomności to tak naprawdę ich ochrona, jako że odsuwają one inaczej niechybną karę. Powiadam „odsuwają” i tak też na ogół rozpatruje się tę kwestię. Ale czy kara rzeczywiście zostaje wówczas umorzona? W żadnym razie. Jest ona jedynie zamieniona na wydatki na policję i sądy oraz rozłożona pomiędzy tych, którzy oparli się ułomnościom charakteru. Gdy nasze umysły zaprzątnięte są sprawą pijaków, lumpów, hazardzistów i pozostałych ofiar hulaszczego życia, karę ponosi Zapomniany Człowiek. Kim więc jest ten Zapomniany Człowiek? To cichy, porządny, cnotliwy obywatel, który spłaca swoje zobowiązania i nie zalega z podatkami, o którym nikt nigdy nie słyszał poza wąskim gronem bliskich i znajomych. Lecz któż jest bardziej godzien pośród społeczeństwa, by to jego sprawę mieli na uwadze prawodawcy i politycy?

Następny rząd przypadków powiązany jest z opisywanymi powyżej. Najwyraźniej nie do wykorzenia z umysłów ludzkich są przesady na temat roli regulacji państwowych w życiu społecznym. Wszystkie nasze doświadczenia przemawiają przeciw regulacji, a za wolnością. Im bardziej

swobodne są instytucje społeczne, tym słabsze bądź mniej efektywne są państwowe regulacje. Biurokracja w Prusach uczynić może dla swoich obywateli wielokrotnie więcej niż jakikolwiek organ administracji w Stanach Zjednoczonych, lecz pamiętajmy, że jeżeli chcemy by zajmowano się nami tak jak mieszkańcami Prus czy Francji, będziemy musieli poświęcić część naszej wolności osobistej.

Mamy zatem pośród nas wielu życzliwych, którzy szczerze wierzą, że wyświadczą swojemu krajowi przysługę, gdy projektują regulacje: stosunków pomiędzy pracodawcami a pracownikami, standardów higieny i mieszkalnictwa, bezpieczeństwa w zakładach pracy, czy też właściwego spędzania czasu w niedzielę, albo co ludzie powinni jeść, pić, czy palić. Przedsięwzięcia te byłyby nawet nieszkodliwe i pożyteczne, gdyby ograniczały się do zachęt i kampanii społecznych [na rzecz dobrowolnego przyjęcia określonych rozwiązań – przyp. tłum.], jednak prawie zawsze koncentrują się na ustanowieniu powszechnie obowiązującego prawa. Zwolennicy tych reform pragną uzyskać większość, to jest możliwość narzucenia poprzez instytucje państwowe pozostałym ludziom zasad, które uważają za słuszne. Tak więc osoba A i osoba B zgadzają się co do tego, że niedzielę należy spędzać w określony sposób. Uchwalają zatem prawo, które zobowiązuje osobę C do zachowywania się w ten sposób. Jeżeli decydują się na abstynencję, przyjmują ustawę, która zmusza do abstynencji także osobę C – w interesie osoby D, która zwykła nadużywać alkoholu. Przyznaję, iż regulacje zasad pracy w zakładach przemysłowych dotyczące kobiet i dzieci są potrzebne, ponieważ sytuacja kobiet i dzieci na rynku nie jest równa mężczyznom i nie mają oni podobnej pozycji przy negocjacji umów. Jednak dorosłych mężczyzn w wolnym kraju należy pozostawić samym sobie, by samodzielnie negocjowali swoje kontrakty i troszczyli się o swój status. Na nic zda się tu argumentacja, że w rzeczywistości niektórzy mężczyźni są słabi, skutkiem czego ich pozycja przetargowa nie jest lepsza niż kobiet. Nasze instytucje społeczne oparte są bowiem na założeniu, iż wszyscy mężczyźni są równi w prawach obywatelskich, czego nie można powiedzieć o kobietach i dzieciach². Gdybyśmy mieli zatem wyznaczać zakres praw obywatelskich na podstawie kryterium jednej teorii, a obowiązki społeczne na podstawie innej, stworzylibyśmy system sprzeczny z moralnością i nie do zniesienia. Tymczasem osoby A i B przyjmują kolejne akty prawne, regulujące pracę w fabrykach, czy stosunki pomiędzy pracodawcą a pracownikiem oraz powołują armię

² 19. poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, zakazująca dyskryminacji w prawach wyborczych ze względu na płeć przyjęta, została przez Kongres dopiero w 1919 r. (weszła w życie rok później), podczas gdy *Zapomniany człowiek* pochodzi z okresu pomiędzy 1899 a 1905 r. – przyp. tłum.

komisarzy i inspektorów jeżdżących po kraju, by przeprowadzić kontrolę, zamiast zając się raczej instruowaniem wolnych ludzi (jeśli w ogóle zachodzi potrzeba takiego instruowania), jak zadbać o swoją pozycję poprzez wybór miejsca pracy, ustalenie godzin, czy dni wolnych od pracy. Skutkiem tego zjawiska jest utrata przez ludzi szansy na lekcję prawdziwej wolności, która jest niezbędna dla podtrzymania instytucji wolnego społeczeństwa. Ludzie ci są uczeni, by polegać na rządowych funkcjonariuszach i inspektorach – systemie, który niszczy instytucje wolności. W Anglii liberałowie mieli w zwyczaju z podejrzliwością podchodzić do każdej regulacji państwowej, lecz odkąd sami doszli do władzy, najwyraźniej uznali, że regulacja jest rzeczą dobrą, o ile tylko to oni regulują. Wszak oni chcą realizować tylko słuszne zamysły. W naszym państwie natomiast frakcje polityczne popierają bądź sprzeciwiają się interwencji rządowej w zależności od tego, czy akurat sprawują rządy, czy nie.

Jeśli zatem rozpatrujemy regulacje państwowe, pierwszą rzeczą, o której zawsze się zapomina jest, kto ponosi ich koszty. Kto na nich traci? Albowiem zawsze ktoś na nich traci. Robotnicy, którzy nie są w stanie sami bronić swoich interesów, zmuszeni są przecież opłacać w tym celu inspektorów. Cały system regulacji stosunków społecznych opiera się na radach, komisarzach czy inspektorach i ma na celu łagodzenie skutków niezaradności określonych osób. Skutkiem tego działania jest pozostawienie tych osób w stanie permanentnej indolencji bez bodźca do poprawy. Jednocześnie rezygnuje się z wykorzystania agencji, które niosą pomoc bezpośrednią i adekwatną. A przecież, jeśli wybawimy bezczynnych od konsekwencji ich nieróbstwa, równocześnie obarczamy tymi konsekwencjami ludzi, którzy nie byli bezczynni. Jeśli zrezygnować z agencji, które działają w sposób bezpośredni i adekwatny do potrzeb, pozostaje nam posłużyć się innymi. I znów ukazuje nam się tu Zapomniany Człowiek. Osoba, która okazała się ostrożna i rozważna, a jej jedynym pragnieniem jest czerpać korzyści ze swojej własnej pracy dla siebie i swojej rodziny. Zabrania jej się jednak nawet tego, tłumacząc, że powinna się zatroszczyć również o niezapobiegliwych pracowników fabryki czy kolei, którzy nie zdołali zadbać o własne bezpieczeństwo w pracy, ani też nie wymusili zapewnienia odpowiednich warunków na pracodawcy. Albo też poleca jej się otoczyć opieką indolentnych lokatorów, którzy nie poczynili starań o przyzwoite warunki sanitarne, albo też właścicieli domostw, którzy nie zabezpieczyli się przed pożarem, albo jeszcze niesumiennych rodziców, którzy nie posłali dzieci do szkoły. Jeśli Zapomniany Człowiek nie uczyni tego wszystkiego sam, będzie musiał zatrudnić inspektora, który zrobi to za niego. Bez wątplenia zdarzają się przypadki, gdy w interesie Zapomnianego Człowieka leży rozwiązanie kon-

kretnego problemu. Lecz chciałbym tu podkreślić, że co do zasady reformiści oraz altruści nie mają ani racji, ani prawa ustanawiać obowiązku pracy na rzecz niezaradnych. Jeśli tego tak bardzo chcą, niech uczą bezczynnych brać za siebie odpowiedzialność. Za każdym razem, gdy osoba A i osoba B naradzają się, jak osoby A, B i C powinny pomóc osobie D, podejmujący ową decyzję nie znajdują się pod żadną presją. To przecież oni zgadzają się na interwencję publiczną i oni popierają tę formę pomocy. Rzadko kiedy pod naciskiem znajduje się także osoba D, jako że do głowy nie przychodzi jej protestować czy unikać tego projektowanego prawa. Cała presja spada tu na osobę C. Kim jest C? To zawsze ten sam człowiek. Pozostawiony samemu sobie, z rozważą korzystałby ze wolności i nie nadużywałby jej ze szkodą dla innych. Nie stanowiłby dla nikogo problemu społecznego i nie potrzebowałby żadnych regulacji. To znów ten sam Zapomniany Człowiek, który, jeśli przyrzeć mu się bliżej, stanowi wzór dla każdego z nas.

Rozważmy następujący przypadek. Przeglądając rozmaite teksty, moim oczom co i rusz ukazuje się argument, że przestępcy mają uprawnione roszczenia i prawa w stosunku do społeczeństwa. Nie tak dawno czytałem reportaż z kosztownego ośrodka, zajmującego się resocjalizacją i powiedziano mi nawet, że mamy wręcz obowiązek nie tylko wymierzać sprawiedliwość, ale i reformować skazanych. Jako młody człowiek oddawałem się lekturze powieści Eugène Sue, Victora Hugo i innych przedstawicieli pokolenia francuskiej Wiosny Ludów, w których to niegodziwość prezentowana jest nie jako wina niegodziwego, lecz jako wina społeczeństwa. Skoro zatem społeczeństwo składa się z ludzi złych i dobrych, a powyższe teorie opierają się na założeniu, że zepsucie nie jest winą zepsutych, wynika z tego, że źli ludzie są źli z winy dobrych ludzi. Bez wątpienia wniosek ten stanowić musi wielkie pocieszenie dla niegodziwych.

Zastanówmy się zatem przez chwilę, co jest istotą kary, jako że bardzo wielu ludzi zdaje się mieć na ten temat mgliste pojęcie. Każdy człowiek w społeczeństwie obowiązany jest z tytułu naturalnego porządku rzeczy i przykazań rozumu do przyczyniania się do siły i dobrobytu społecznego. Powinien wykonywać swoją pracę, cechować się pokojowym usposobieniem, odznaczać się uczciwością, sprawiedliwością i cnotliwością. Przestępca natomiast jest to człowiek, który zamiast pracować na rzecz dobrobytu powszechnego, zwraca się przeciw pożytkowi społecznemu w ten, czy inny sposób. Narusza porządek, zaburza harmonię, naraża bezpieczeństwo oraz depcze szczęście innych, na przykład marnując bądź niszcząc zgromadzony kapitał i dobra. Jeśli jest karany śmiercią, to dlatego, że sam pozbawił się wszelkiego prawa do egzystencji w ramach społeczeństwa poprzez ogrom swoich zbrodni przeciw dobru powszechnemu. Jeśli jest pozbawiony wolno-

ści, to wyłącznie dlatego, że społeczeństwo uznało to za sprawiedliwą odpłatę za jego występki i życzy sobie być od niego odseparowanym. Kara jest zatem ostrzeżeniem i bodźcem do poprawy zupełnie tak samo, jak zarządzenia Boga i natury wymuszają pracę nad grzechem i wadami. Człowiek, który popełnił przestępstwo jest zatem obciążeniem i krzywdą dla społeczeństwa. Jest siłą destrukcyjną, a nie produkcyjną i dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby ów człowiek w ogóle się nie narodził. Skąd czerpie on zatem prawo do bycia resocjalizowanym czy reedukowanym na koszt publiczny? Kwestia tego, jak z nim postąpić zależy od okoliczności i obejmuje całą gamę środków – od egzekucji aż po wspomniane reedukację i resocjalizację. Lecz gdy rozpatrujemy stosowność resocjalizacji, zapominamy o tym, że jest ona pracą, a więc kosztem, który ktoś musi ponieść. Wszystko, co państwo może uczynić dla przestępcy – poza zmuszeniem go do pracy na samego siebie – jest wykonywane na koszt przedsiębiorczych i zaradnych członków społeczeństwa, na poprawę i dyscyplinowanie których nie trzeba przeznaczać żadnych środków. Jeśli człowieka, który pobłądził można w jakiś sposób przywrócić dla społeczeństwa, nikt nie sprzeciwia się takiemu działaniu. Lecz ci, których umysły pełne są hasel współczucia i potrzeby przyjęcia publicznych programów resocjalizacji kryminalistów przede wszystkim szykanują – po raz kolejny – Zapomnianego Człowieka.

Przypatrzmy się zatem kolejnej instancji. Gdy obsadzony ma być urząd publiczny, oczywiście natychmiast zjawia się wielka liczba starających się o pozycję. Podania o pracę wielu z nich uzasadniane i popierane są złą sytuacją materialną, czy brakiem możliwości samodzielnego utrzymania, wolą łączenia etatu z edukacją, koniecznością utrzymywania żeńskich członków rodziny, czy innymi podobnymi powodami. Zdarzają się sytuacje, w których kandydatury motywowane są pokrewieństwem z osobą trzecią, albo usługami i uprzejmościami, które świadczą na co dzień przedstawiciele zgoła odmiennych profesji. I tak mężczyźni proponowani są na stanowiska urzędnicze, ponieważ dwadzieścia lat wcześniej odbywali służbę wojskową, albo też mają objąć funkcję celników, gdyż posiadają doświadczenie w służbie publicznej przy organizacji partii politycznych. Jeśli zatem stanowiska publiczne mają być obsadzone z uwagi na poczucie sentymentu czy protekcję, stanowi to nadużycie, które zasługuje na potępienie ze względu na szkodę, którą wyrządza interesowi publicznemu. Pragnę jednak podkreślić kolejny aspekt tego zjawiska, który wciąż wymyka się ludzkiej uwadze. Jeśli zaoferujesz posadę osobie A, nie możesz już zaoferować jej osobie B. Jeśli zatem A okazywane są względy bądź protekcja, a nie jest on osobą o odpowiednich kwalifikacjach, kim jest B? Jest to człowiek, który ma po swojej stronie wyłącznie własną wartość, a nie w wpływowych przyjacielu czy koneksje

w polityce. Cicha, spokojna jednostka, która nie zna innej recepty na otrzymanie od życia szansy niż zwyczajnie na nią zapracować. I znów ukazuje się nam Zapomniany Człowiek. Po raz kolejny uznajemy go godnym naszego szacunku i uwagi, chociaż ukryty jest w cieniu hałaśliwych, natarczywych i niekompetentnych. Któż jeszcze pamięta, że jeśli zaoferuje się określoną pozycję człowiekowi, który się na nią nie nadaje, zamyka się tym samym drogę do kariery temu, kto na nią zasłużył?

Pochylmy się nad kolejnym przypadkiem. Związek zawodowy jako zrzeszenie robotników w konkretnym sektorze gospodarki ma za cel głównie podwyższenie płac w tej branży. Zamysł ten może zostać zrealizowany albo poprzez dofinansowanie owego resortu, albo odpływ siły roboczej. Drugi z tych środków związku zawodowe realizują poprzez wprowadzenie ograniczeń w zatrudnianiu nowych pracowników. Rozpatrujący tę praktykę skupiają się jednak zazwyczaj wyłącznie na jego beneficjentach. Tymczasem stanem pożądanym jest, by zarobki wszystkich pracowników były jak najwyższe, pod warunkiem poszanowania praw rynku. Nasze myśli skupiają się natomiast na tych, którzy mają już pracę i wykorzystują zrzeszenia dla własnych korzyści. Czasem ludzie dostrzegają jeszcze wpływ uzwiązkowienia na sytuację przedsiębiorców, ale – chociaż pracodawcy są nieustannie tym procesem dręczeni – przyjmuje się, że uciążliwość ta stanowi ryzyko wkalkulowane w biznes i należy się z nim po prostu pogodzić. Niektórzy są tu nawet dość spostrzegawczy, by zauważyć, że jeżeli przedsiębiorca godzi się uwzględnić ryzyko związane z działalnością związków zawodowych i strajkami, to wyłącznie dlatego, że przerzuca koszty na swoich klientów. W konsekwencji uzwiązkowienie umniejsza ma powszechny dobrobyt. Jest to niewątpliwie prawdą. Nie przypominam sobie jednak, by w prasie rozpatrywano ten problem z innej perspektywy. Oto wpływ uzwiązkowienia na pracodawców i społeczeństwo uniemożliwia podniesienie poziomu wynagrodzeń. Z samego faktu, że konsumenci płacą więcej za domy i dobra powszechnego użytku nie wynika wzrost płac. W rzeczywistości podwyżka cen staje się tu bowiem czystą stratą, jako że idzie na pokrycie szkód, jakie przedsiębiorca ponosi na skutek działania organizacji pracowniczych. W jaki sposób, wobec tego związki osiągają faktyczne podniesienie wynagrodzeń? Czynią to wyłącznie poprzez zmniejszenie podaży siły roboczej w danej branży, to jest ograniczenie liczby praktykantów i przyjmowanych do zawodu. Wszystko, co udaje się zrobić dla robotników w danym sektorze, odbywa się kosztem pozostałych członków tej klasy, którym po prostu zabrania się podjęcia pracy. Jak każdy inny monopol, tak i ten zabezpiecza przywileje jednych, kosztem drugich – przy czym na praktyce tej tracą obie grupy. Kim są zaś ci, którym wzbrania się dostępu do zawodu i o których

zapomina się w dyskusjach nad działalnością związków zawodowych? To znów Zapomniany Człowiek – młoda osoba, która pragnie jedynie uczciwie zarabiać na życie w danej branży. Ponieważ sama wybiera sobie zawód, można podejrzewać, że ma ku niemu predyspozycję, być może nawet odniosłaby sukces, a społeczeństwo by na tej pracy tylko skorzystało. Ale jest ona w sposób arbitralny odsuwana od danej profesji, często wręcz wypychana do klasy robotników niewykwalifikowanych. Stąd też uważam, że gdy omawiane są sukcesy związków zawodowych w kwestii wzrostu wynagrodzeń w gospodarce, zapomina się o ludziach, którzy w pewnym sensie zapłacili za ten wzrost.

Pozwólmę zatem, że zwrócę uwagę na jeszcze jedną kategorię przypadków. Wykazałem już, że historia była dotychczas świadkiem niekończącego się pasma egoizmu, pożądlivosti i grabieży, a także potwierdziłem, że najważniejszym problemem, z jakim zmierzyć się musi każdy ustrój jest to, jak okiełznać owe pasje trawiące ludzką naturę. Ludzie wciąż skłonni są wierzyć, że sprawy publiczne mają w sobie coś z metafizyki i wzniosłości. Nie jest to jednak prawdą. Instytucje polityczne tworzone są bowiem w celu ochrony (pośrednio bądź bezpośrednio) własności prywatnej mężczyzn i honoru kobiet przed grzechem i występkiem. Dziś w naszym kraju problem ten manifestuje się już na kolejnych stadiach, ale jego istota pozostaje ta sama co zawsze. Stanowi on co prawda większe wyzwanie, ponieważ trudniej nam go zidentyfikować na nowym stadium. Nasi rodacy odchodzą zatem od zmysłów z niepokoju i na ślepo starają się go rozwiązać, lecz jeszcze go nie rozpoznali. Stąd też większa część podejmowanych przedsięwzięć chybia jeszcze celu – lecz z czasem odnajdziemy właściwą drogę. Aktualnie wiele szumu robi się na przykład wokół problemów spekulacji na giełdzie czy manipulacji kapitałem zakładowym, co nie jest ani specjalnie błyskotliwe, ani nie odnosi się do sedna. Niemoralność i bezprawie, które ludzie tropią tu po omacku to zwyczajną pazerność.

Pazerność, o której tu wspominam, to nic innego jak ostentacyjne starania o zgromadzenie dóbr – nie poprzez uczciwą i samodzielną pracę, lecz z wykorzystaniem jakiegoś chytrego planu, umożliwiającego wyłudzenie majątku od innych. Większa część naszego ustawodawstwa także zawiera postanowienia, które zmuszają do wyświadczenia usług innym. Formą takiego beneficjum jest konieczność utrzymywania gmachów publicznych. Oczywiście nie jest to regułą, lecz zazwyczaj budynki te kosztują znacznie więcej, niż to wystarczające do pełnienia wyznaczonych im zadań i zapewnienia ich użytkownikom nawet umiarkowanego luksusu. Roboty publiczne również stanowią przykład takiej służebności. Wszak są przeprowadzane nie dlatego, że ich wykonanie jest rzeczywiście potrzebne, ale ponieważ

zlecane są osobom zainteresowanym zabezpieczeniem swoich prywatnych interesów – nierzadko członkom organu, który podejmuje decyzję o ich ustanowieniu. Człowiek, który pragnie założyć gospodarstwo nie udaje się w tym celu w miejsce, gdzie ziemi jest w bród, lecz osiada w dolinie rzeki Missisipi, a następnie domaga się opodatkowania swoich sąsiadów, by sfinansować publiczny program budowy wałów przeciwpowodziowych, bo rzeka zalewa mu farmę. Poszukiwacze złota w Kalifornii, którzy wyplukali ze skał cały kruszec, pozwolili odpadom spłynąć strumieniami, doprowadzając tym samym do zanieczyszczenia wód i gospodarstw. Teraz życzą sobie, by to rząd federalny, korzystając ze środków publicznych, zlecił oczyszczanie doliny. Górnicy srebra zaś, gdy tylko zorientowali się, że wydobywany przez nich metal traci na wartości, skłonili rząd do interwencji na rynku i skupu wielkiej ilości srebra tak, by podtrzymać jego cenę. W ten sposób do administracji federalnej kierowane są apele o zakup bezużytecznych okrętów; przeprowadzenie niedochodowych szlaków wodnych; edukację analfabetów w stanach, które nie zadbały o swoich obywateli³; nabywanie niewydolnych finansowo stacji telegraficznych; a nawet o użyczenie kapitału przedsiębiorcom na ich prywatne inwestycje. Postuluje się zatem, by społeczeństwo roztrwoniło dwadzieścia milionów dolarów na osuszanie bagien; od dwudziestu do sześćdziesięciu sześciu milionów dolarów na kontrolę biegu Missisipi; sto milionów na zasiłki (a słyhać głosy wzywające do przeznaczenia na ten cel kolejnych stu milionów). Realizacja tych projektów wpisuje się w wielki plan wspólnego życia na wspólny koszt. W Anglii przyznawano niegdyś arystokratom renty po to, by kupić sobie ich lojalność. U nas również przyznaje się je po to, by korumpować, lecz ich adresatami są masy posiadające władzę polityczną dzięki udziałowi w demokratycznych wyborach. Doczekaliśmy się już stu tysięcy urzędników federalnych oraz, sam nie wiem ilu, funkcjonariuszy administracji stanowych i samorządowych. Oczywiście urzędnicy są potrzebni i nawet wydaje się opłacalnym, by niektórzy całkowicie poświęcili się funkcjom administracyjnym, lecz jeśli proporcja pomiędzy tymi, którzy wytwarzają dobra, a tymi, którzy są przez nich utrzymywani jest zaburzona, dzieje się to ze szkodą dla całej gospodarki. Jeśli funkcja publiczna traktowana ma być jak łup, beneficjum, czy synekura, stanowi przejaw pazerności i zwykłą grabież.

Przykładem największej pazerności jest jednak protekcjonizm celny. Praktyka ta polega na okradaniu prostych ludzi przez sąsiadów i wykładania

³ System powszechnej edukacji co do zasady znajduje się pod zarządem administracji stanowych. Współudział rządu federalnego w finansowaniu niektórych programów edukacyjnych stał się powszechną praktyką dopiero w XX w. – przyp. tłum.

im, że dzieje się to z pożytkiem dla nich samych, ponieważ nadejdzie i ich kolej, by okradać ograbić pozostałych. Pan Kelley⁴ stwierdził, że jeżeli nie zniesiemy krajowej akcyzy na whisky i tytoń, z której to dochody czerpie rząd Stanów Zjednoczonych, dojdzie do rebelii. Ledwie wypowiedział te słowa, a odkryto, że spora część tytoniu sprowadzana jest z Sumatry, a więc producenci z Connecticut chcą tak naprawdę, by wspomóc ich w konkurencji na rynku, nakładając na towar importowany wysokie cło. Płynię z tego wniosek, że jeśli utrzymamy podatek wewnętrzny na tytoń, z którego korzyści czerpią Stany Zjednoczone, dojdzie do rebelii, ale jeżeli wprowadzimy podatek zewnętrzny, z którego korzyści czerpać będą farmerzy z Doliny Connecticut, to nie będzie żadnego buntu. Hodowcy tytoniu, którzy uprzednio ponosili ciężary z uwagi na uprzywilejowanie przemysłowców, teraz również mają stać się beneficjentami systemu podatkowego, a koszt wynikający z ceł przerzucony zostanie na robotników, którzy palą importowany tytoń. W ten sposób dochodzi do wytworzenia coraz pełniejszego i bardziej kompleksowego układu wzajemnych ciężarów i zobowiązań.

Ze wszech stron dochodzą nas wołania pazernych. Rząd, słyszymy, powinien przyznać każdemu człowiekowi odpowiedni zasiłek, stanowisko, a nawet przywilej podatkowy, który pozwoliłby podnieść cenę wytwarzanego przezeń produktu. Rząd powinien także odpowiadać za czystość prywatnych zbiorników wodnych, prowadzić skup rzeczy, na które nie ma już chętnych. Dobrze by było, gdyby zapewnił walutę na spłatę długów, edukację dla dzieci, powszechny dostęp do biblioteki, parku, muzeum, a nawet galerii. Na każdym kroku napotykamy pokusę marnotrawstwa czy rozrzutności, a motto, które ma nam przyświecać to „wydawać, trwonić, łupić, grabić”. Co prawda trochę na tę sytuację utyskujemy i narzekamy na chciwość korporacji, przewagę wielkiego kapitału i nikczemność manipulacji giełdowych, lecz nie przeszkadza nam to wybierać prawodawców, którym zawdzięczamy ten stan rzeczy. Oczywiście nie widzimy przy tym naszej własnej winy w tym, że zgodziliśmy się, by reprezentowali nas i zarządzili nami ludzie, którzy – jeśli mogą posłużyć się kolokwializmem – wystawiają nas do wiatru. Jakże to tak? Przyznać się, że nieszczęście zawdzięczamy samym sobie? Lamentujemy nad

⁴ Oliver Hudson Kelley (1826–1913) – jeden z założycieli agrarystycznej organizacji Grange (National Grange of the Order of Patrons of Husbandry) skupiającej się na samopomocy farmerów z południowych stanów w okresie po Wojnie Secesyjnej. Kelley opowiadał się za ustanowieniem szeregu przywilejów oraz zwolnień z opłat i podatków dla rolników, które miały mieć swoją podstawę w szczególnej roli, jaką odgrywało rolnictwo w Ameryce. Społeczność wiejska formować miała zwartą, wzajemnie się wspierającą grupę interesu, a członkowie organizacji Grange mieli aktywizować i przeprowadzić lokalnym społecznościom – przyp. tłum.

problemem monopoli i omawiamy projekty kolejnych praw, które mają zapobiec niegodziwym praktykom spółek handlowych. Ale ktoś reguluje funkcjonowanie tych podmiotów? Nasi przedstawiciele. Kto wybrał tych ludzi do legislatury? My sami. Jak moglibyśmy wymagać od złego prawodawcy, by uchwalił ustawę, która uniemożliwi tworzenie złego prawa? A przecież do tego sprowadzają się nasze zabiegi. Jeśli jesteśmy ludźmi wolnymi, którzy sami o sobie stanowią, powinniśmy stwierdzić jasno, że wszystkie nasze porażki mają źródło w nas samych. Czy kogokolwiek naprawdę dziwi, że ludzie są chciwi, niezależnie od tego, czy działają poprzez spółki, czy jako osoby fizyczne? Czy potrzeba objawienia, by stwierdzić, że potrzeba nam przepisów gwarantujących ochronę naszych praw przed egoizmem, pazernością i oszustwem? Dotychczas starałem się przecież wykazać, że państwo nie ma żadnych innych zadań.

Stwierdziłem już, że powodująca człowiekiem pazerność prowadzi do marnotrawstwa, grabieży i szkód, a system, który na niej oparto od samego początku opisałem jako mechanizm odbierania owoców cudzej pracy. Nasuwa się zatem pytanie: kto ponosi jego koszty? System okradania się nawzajem prowadzi do nieuniknionej zagłady wszystkiego, czego dotknie. Nie przynosi żadnych korzyści. Dobrobyt pochodzi przecież wyłącznie z produkcji, więc wszystko, o co zabiegają awanturujący się i zachłanni pieczeniarze może być wyłącznie owocem trudu i poświęceń innych ludzi. Kto zatem dostarcza dóbr próżniakom? Poszukaj go dobrze, a twoim oczom ukaże się znów ten sam Zapomniany Człowiek. Odnajdziesz go pochłoniętego pracą, ponieważ na swoich barkach niesie trud utrzymania tak wielu ludzi. Natura obsypała go swoimi błogosławieństwami – żywną ziemią i doskonałym klimatem, stąd też zastanawia się, dlaczego, po włożeniu tyle trudu, komfort jego życia wciąż jest tak skromny. W końcu musi wypracować dość, by [utrzymać siebie, najbliższych oraz – przyp. tłum.] zapłacić podatki, to jest pokryć koszty pazerności i grabieży. Zapomniany Człowiek oddaje się tej harówce sumiennie i cierpliwie. Utrzymuje rodzinę, płaci podatki, uczestniczy w wyborach, wspiera parafię i lokalną szkołę, czyta swoją gazetę i wyraża poparcie dla polityka, którego akurat poważa, lecz jest jedyną osobą, dla której nie zostawia się nawet okrucha po rozdzieleniu wszystkiego, co jest do rozdzielenia.

Takim właśnie jawi się nam Zapomniany Człowiek. Pracuje, głosuje, a nawet się modli i zawsze płaci. O tak, on przede wszystkim płaci. Nie troszczy się o godności publiczne, jego imię nigdy nie trafia na łamy prasy, chyba, że akurat wziął ślub bądź umarł. Tymczasem utrzymuje on na swoich barkach ciężar całej gospodarki. Prawi się mu komplementy wyłącznie podczas kampanii wyborczych, chociaż na co dzień wspiera partie polityczne

i bez wątpienia jest wielkim patriotą. Nawet w jego lokalnej społeczności zabiega się o niego wyłącznie wówczas, gdy trzeba wykonać jakąś pracę albo udzielić rady. Chociaż zdarza się, że poskarży się on czasem na swój los żonie bądź najbliższemu, to nie czyni tego publicznie, ani też nie rozprawia o polityce po knajpach. W konsekwencji, nie pamięta się o jego doli. Jest człowiekiem pospolitym i nie sprawia kłopotów. Nie wzbudza podziwu, nie jest dla publiki bohaterem jak na przykład krasomówca. Nie jest dla nikogo problemem jak lump czy parias, ani też ciężarem jak nędzarz czy truteń. Nie okrył się niesławą jak kryminalista, ani też nie trzeba mu przychodzić z pomocą jak okrutnie traktowanym zwierzętom. Nie sposób zatem zbić na nim kapitału społecznego, jak na beneficjentach pomocy państwowej i kościelnej, ani też łatwo go wykorzystać, jak czyni się to z nieświadomymi bądź niepiśmiennymi. Ekonomiści i politycy na próżno przedstawiliby mu swoje ckiwe hasła, które adresują do niewydolnych robotników i nieobrotnych rzemieślników. Pozostaje zatem zapomniany. Wszystkie ciężary spadają właśnie na niego, albo na nią, jako że czas przypomnieć, że nierzadko Zapomnianym Człowiekiem jest właśnie kobieta.

Jeśli wybrać się do Willimantic⁵, mieszkańcy tego miasta z pewnością wskażą wspaniałe przedsiębiorstwa, z których są tak dumni. Słyszałem, że mają tam szwaczki, które pracują zaledwie za pięćdziesiąt centów za dwanaście godzin pracy, podczas których potrafią wykonać nawet całą przędzę. Zwróćmy przy tym uwagę, że w cenie każdej szpuli przędzy co najmniej jeden cent to podatek. Nie płaci się go po to, by uzyskać przędzę, ponieważ nie trzeba płacić żadnych podatków, by uprawiać włókiennictwo. Jego przeznaczeniem jest wsparcie niewydajnych zakładów lniarskich w tym samym Willimantic. Skutkiem tego zjawiska jest wyższa cena włókien pochodzących z pozostałych fabryk, co czyni zakłady lniarskie zwykłym ciężarem dla otoczenia. Jeśli zatem kobieta zarabia pięćdziesiąt centów za dwanaście godzin pracy, to – zachowując proporcje – zarabia w przybliżeniu szpulę na godzinę. Jeśli przy tym zużywa całą szpulę na dzień, to piętnaście minut pracy każdego dnia poświęca na wsparcie zakładów lniarskich, które w 1882 r. wypłacały 95-procentową dywidendę swoim akcjonariuszom. Wobec tego przedsiębiorstwa w Willimantic robią wrażenie – jednak tylko do momentu, gdy człowiek uzmysłowi sobie, że kobiety pracujące po poddaszach oraz rzemieślnicy, ich żony i dzieci, wszyscy organizujący swoją aktywność wokół przemysłu


⁵ Willimantic – miasto w stanie Connecticut w XIX w. poddane intensywnej industrializacji. Willimantic słynne było w całych Stanach Zjednoczonych jako siedziba największych przedsiębiorstw w kraju. Wówczas to w mieście osiadło wielu przybyłych za pracą imigrantów z innych krajów amerykańskich, ale przede wszystkim z Europy: Irlandii, Polski, czy Niemiec.

włókienniczego pracują godzinami nie po to, by uzyskać dobra, których potrzebują, ale by utrzymać system, który jest dla nich zwykłym obciążeniem i utrudnia pozyskanie dóbr.

Jest zatem oczywistym, że Zapomniany Mężczyzna i Zapomniana Kobieta stanowią o żywotności i istocie społeczeństwa. To przede wszystkim o nich powinniśmy pamiętać. Tymczasem zapominają o nich zarówno altruści, filantropi, reformiści, społecznicy i wszyscy inni, uprawiający spekulację w dziedzinie socjologii, ekonomii politycznej, czy politologii. Jeśli adept, którejkolwiek z wymienionych powyżej nauk kiedykolwiek pojmie sytuację i prawdziwe znaczenie Zapomnianego Człowieka, stanie się nieprzejednanym rzecznikiem ściśle naukowego myślenia, o chłodnym i surowym spojrzeniu na plany sztucznego udoskonalania społeczeństwa. Jeśli już wprowadzać jakieś ulepszenia, powinny to być raczej projekty ulżenia sytuacji Zapomnianego Człowieka. Jest on przecież naszą siłą wytwórczą, która idzie na zmarnowanie. Zaprzeźdźmy tego, a przysporzymy się całemu społeczeństwu w sposób prosty i uczciwy. Zapomniany Człowiek przygnieciony jest ciężarem programów niesienia szczęścia wszystkim ludziom na koszt publiczny. Utrzymuje próżniaków, spona szkody wyrządzone przez ekonomicznych szarlatanów, funduje serwituty pazernym. Poświęćmy mu trochę naszej uwagi i zdejmijmy z jego barków choć trochę owego brzemienia. Okażmy nasze współczucie właśnie jemu, a nie tym, z których nie ma żadnego pożytku. Dlaczego mielibyśmy odmawiać sobie przyjemności troski o drugiego człowieka, skoro jest on czysty, uczciwy, pracowity, niezależny i samodzielny? Nie odziedziczył majątku, który pozwoliłby mu opływać w luksusy, ale nie ustaje w staraniach o dobre życie. Zwłaszcza, że nie żebrze on o naszą pomoc, a jedyne o co prosi, to by nie wchodzić mu w drogę, okazać mu szczerą przyjaźń i szacunek, na który zasługuje. Filantropi i altruści zbyt długo skupiali już naszą uwagę na ohydnych, gnuśnych, skamlących próżniakach i kryminalistach.

Zapomniany Człowiek nigdy nie jest nędzarzem. Niemal zawsze posiada skromny kapitał, ponieważ obdarzony został charakterem, który nakazuje mu żyć oszczędnie. Jego majątek nigdy nie jest jednak większy niż znikomy. W powszechnym, choć niepoprawnym, rozumieniu tego słowa jest wręcz ubogi. Wyłożyłem już, że jeśli zadasz sobie trud odszukania Zapomnianego Człowieka i okażesz mu dość troski, nabierzesz sceptycyzmu wobec filantropijnych i altruistycznych projektów. Widać zatem jak na dłoni, że interesy Zapomnianego Człowieka oraz „ubogich”, „słabych” i innych rozbestwionych grup społecznych stoją ze sobą w sprzeczności. Sygnałem ostrzegawczym są już pierwsze słowa mowy publicznej, wzywającej do wsparcia biednych. W tej samej chwili Zapomniany Człowiek wystawiony

zostaje na kolejny atak i, jeśli w ogóle chcesz mieszać się w sprawy społeczne, to jemu powinieneś wówczas przyjść z pomocą. Musisz być przygotowany, że troszcząc się o Zapomnianego Człowieka, oskarżony zostaniesz o obojętność na sprawy ubogich. Lecz pamiętaj, że każde działanie na rzecz otaczanych opieką klas społecznych stanowi marnotrawstwo środków. Tymczasem jedyne, czego potrzebuje od ciebie Zapomniany Człowiek to zabezpieczenie prawa do jego własnych zarobków, to jest uchwalenia takiego prawa, które zapewni nienaruszalność jego majątku i swobodę zatrudnienia. Musisz zatem sprzeciwić się pieniądzwowi fiducjarnemu, rezerwie cząstkowej w bankach, odsetkom maksymalnym i nade wszystko popierać swobodę kontraktowania. Musisz się zatem przygotować, że zostaniesz oskarżony o wspieranie klasy kapitalistów, przeciwników biednego człowieka.

To, czego tak naprawdę pragnie Zapomniany Człowiek to prawdziwa wolność. Nieszczęścia i niesprawiedliwości, które go spotykają mają swoje źródło w naszych instytucjach społecznych, które wciąż stanowią pomieszczenie średniowiecznych teorii protekcji i osobistych zależności oraz nowożytnych teorii niezależności i wolności osobistych. W tym stanie rzeczy najsprytniejsi zapewniają sobie pozycję, która pozwala im wyznaczać zakres swoich praw podług teorii paternalistycznej, a obowiązki podług teorii wolności. W konsekwencji to Zapomniany Człowiek, który jest pochłonięty własną pracą ponosi podwójny koszt. Jego prawa są bowiem wyznaczane podług teorii wolności (a więc ma tylko to, co sam zdobędzie), a obowiązki podług teorii paternalistycznej (a więc musi zadbać o wszystkich podopiecznych, jak to jest obowiązkiem rodziców). Paternalistyczną teorię państwa omawia się tak, jakby była czymś bardzo łatwym. Przyjrzyj się jej jednak uważnie, a odkryjesz, że w każdym stosunku ojcowskim istnieć muszą dwa podmioty: ojciec i dziecko. Jeśli zatem odnieść tę relację do świata polityki, wielką różnicę robi, czy jest się w społeczeństwie ojcem, czy dzieckiem. Zawsze, gdy do wykonania jest jakaś praca, albo trzeba ponieść jakieś wydatki, klasy uprzywilejowane, kryminaliści i pazerni przyjmują pozycję dziecka. Za nic nie płacą, a generują koszty. Zapomniany Człowiek tymczasem bierze na siebie obowiązki ojca. Potrzebuje on od nas tylko tyle, byśmy sobie wszyscy wyjaśnili, czym jest wolność i ją zaprowadzili. Każdy krok w stronę realizacji tej prawdziwej wolności odciąża i uniezależnia Zapomnianego Człowieka, pozwalając mu wykorzystywać swoją energię na użytek własny i wspólnoty. 

przeł. Cezary Błaszczuk

WILLIAM GRAHAM SUMNER (1840–1910) – uważany jest za jednego z najważniejszych przedstawicieli konserwatywnego liberalizmu oraz prekursora socjologii w Stanach Zjednoczonych. Jako epigon XIX-wiecznego leseferyzmu i negatywnie pojmowanej wolności politycznej, Sumner wpłynął jednak także na rozwój amerykańskiego konserwatyizmu i libertarianizmu. Urodził się 30 października 1840 r. w Paterson w Stanie New Jersey w rodzinie pracownika kolei. Wychowany w szacunku dla ciężkiej pracy, uczciwości i niezależności, możliwość rozwoju swoich ponadprzeciętnych zdolności zawdzięczał osobistym staraniom ojca. Studiował filozofię i teologię. Najpierw w Yale, a od 1863 r. w Oxfordzie, gdzie nawiązał kontakty z przedstawicielami Szkoły Manchesterskiej i angielskimi liberałami. Podczas pobytu w Europie poznał też Herberta Spencera, największy umysł tamtej epoki i najważniejszego przedstawiciela konserwatywnego liberalizmu oraz ewolucjonizmu społecznego. Niedługo po powrocie do Ameryki, w 1872 r. zatrudniony został na Yale, gdzie wykładał przez niemal 40 lat. Posługiwał się swobodnie dwunastoma językami, w tym polskim. Był założycielem pierwszej katedry nauk politycznych i socjologii w Stanach Zjednoczonych. Pisał na tematy społeczne, ekonomiczne, kulturalne i polityczne, a jego badania nierzadko dotyczyły także historii, teologii i matematyki.

WILLIAM GRAHAM SUMNER (1840–1910) – is considered as one of the greatest conservative liberals and the father of American sociology. As an epigone of 19th-century laissez-faire and negatively conceived political freedom, Sumner influenced both American conservatism and the birth of libertarianism. He was born in Paterson, New Jersey, on October 30, 1840, in the family of a railway worker. Brought up in respect for hard work, honesty and independence, he owed much to his father's efforts that his extraordinary intellectual abilities could be engaged at the University of Yale, with which he was associated almost through whole of his life. In 1863 he went to Europe, where (including Oxford) he studied classical philology and theology. At the time, he established contacts with representatives of the Manchester School and the most prominent representative of conservative liberalism and social evolutionism, Herbert Spencer. In 1866, he returned to the United States only to become a professor at Yale six years later. He held this function for nearly forty years, until 1909, when due to poor health he was forced to end his academic career. Sumner spoke twelve languages, including Polish. He was the founder and the head of the first department of political science and sociology in the United States. He wrote on social, economic, political and cultural issues, and in his research he also dealt with history, theology and mathematics. In recognition of his merits Yale still maintains the professorship named in his honor.